

cos. 20528/2/M



GOSPODA POETÓW

DWUTYGODNIK POETYCKI

ROK II.

30 CZERWCA 1921.

ZESZYT XI.

POKŁOSIE POETYCKIE.

Przed kilku dniami przeżyłem bardzo miłą chwilę moralnego zadowolenia, nie mówiąc już o doznaniem wzruszenia estetycznem. A było to tak. Otrzymałem od autorów dwa świeżo wydane zbiorki poezji: Stanisławy Iwańskiej — „Siódma godzina” i Tadeusza Łopalewskiego „Majowce”. Czytelnikom „Gospody Poetów” nie obce są te nazwiska, znaczną część bowiem wierszy, zawartych we wspomnianych zbiorach — drukowałem w swoim czasie na łamach „Gospody”. I w tem jest właśnie źródło — mego moralnego zadowolenia. Bo oto na przekór urzędowej krytyce warszawskiej, która za wszelką cenę starała się albo systemem przemilczenia albo przy pomocy tanich dowcipów — zbagatelizować i ośmieszyć moją pracę, podjętą w tym zbożnym zamiarze, aby dać możność wydobyć się nowym talentom poetyckim, otwierając im gościnne łamy „Gospody poetów” — na przekór zgorzkniałym i zawistnym wygom literackim — nie skąd inąd, tylko właśnie z „Gospody” wyszły dwa mocne i świeże talenty: Stanisławy Iwańskiej i Tadeusza Łopalewskiego.

I gdybyśmy mogli tę jedną tylko „Gospodzie” przyznać zasługę, choć mniemam, że miała ona tych zasług dla nowej poezji polskiej znacznie więcej — to jako założyciel „Gospody Poetów” z dumą mogę powiedzieć — że „Gospoda” zadanie swe spełniła. Stwierdzenie tego faktu, którego znaczenia nie osłabi ani uparte milczenie starszych panów z obozu „nieustającej nudy”, ani zawistne negacje młodzieńców z obozu „nieustającej blagi” — stwierdzenie tego faktu

napawa mnie niewymowną radością. Tak moi panowie, mili koledzy-literaci, którzyście nie omieszkali nigdy zaniedbać sposobności wetknięcia kija w koła u wozu, który z takim trudem udało mi się poruszyć — tak mili moi koledzy — jakkolwiek usunąłem się obecnie z widowni życia literackiego, na której wam tak zawadzałem — to jednak z tem większem zadowoleniem konstatuje, że praca moja nie poszła na marne, że idea, której chorążym być miałem zaszczyt — rodzi już owoc zwycięstwa.

Tyle — o moralnem zadowoleniu. A teraz zwróćmy oczy na samą twórczość dwóch młodych poetów. Stanisława Iwańska w wierszu p. t. „Ja” — taki oto swój kreśli wizerunek.

„Uśmiechy lekkie upodobały sobie moje usta.

(Usta moje są jeszcze bardzo młode i od tak niedawna całowane)

Spojrzenia głębokie upodobały sobie moje oczy.

(Oczy moje duże są i niebieskie i tak mało jeszcze całowane).

Rozmyślania święte upodobały sobie moje myśli.

(Myśli moje dziwne są i płomienne i tak mało jeszcze zasmucone).

Mam lat dwadzieścia trzy i jestem poetką.”

Oto niezmiernie jasny, w ewangelicznej prostocie słów czysty wizerunek poetki, który jednocześnie jest wizerunkiem jej źródlanej twórczości.

„Siódma godzina” — nie jest pierwszym zbiorkiem poezji Iwańskiej — ale jeśli chodzi o mocny ton własny, to poraz pierwszy występuje on świadomie w zbioru obecnym.

Z namułu utartych komunałów i porównań poetyckich, tak do znudzenia jednakowych i powtarzających się u poetów, których twórczość nie wpływa bezpośrednio z potrzeby wewnętrznej, lecz jest tylko wypracowaniem wedle pewnej określonej recepty wierszoróbstwem — z tego lepkiego namułu oczyściła swą twórczość Stanisława Iwańska, ujmując w formy jak najprostsze w asonansowe rymy — wzruszenia i przeżycia swej głęboko czującej duszy.

Dlatego w poezji Iwańskiej, pomimo że obraca się ona wyłącznie w sferze przeżyć osobistych i kobiecych — niema tej właśnie kobiecej gadatliwości i tego bezprzedmiotowego gładzenia lirycznego, z jakim przywykliśmy się spotykać u kobiet, piszących w Polsce. Dlatego każdy jej najdrobniejszy wiersz — ma swój zamknięty, częstokroć doskonały kształt, ma swój kościec i miąższ, ma swoją — pointę.

Pozatem poezja Iwańskiej — ma jakiś swoisty wdzięk, którego tajemnica leży zapewne w przyspieszonym rytmie jej młodej krwi. Istnieje widocznie jakiś związek tajemny pomiędzy pulsowaniem radosnem jej serca — a rytmem, jaki w jej wierszach tętni.

„Siódma godzina” jest tedy świetną zapowiedzią olśniewającego południa, jakie wkrótce na zegarze twórczości Iwańskiej wybijie dla młodej poetki.

Z innych zgoła założeń wyrasta twórczość drugiego poety — Tadeusza Łopalewskiego.

Posiadając więcej bezpośredniości od Iwańskiej, i w twórczości swej będąc bardziej, niż ona, zależnym od wpływów obcych, Łopalewski poszukuje swego wyrazu, przy pomocy eksperymentów futurystycznych. Jest on jednak bardziej krytyczny i ostrożny w posługiwaniu się formami futurystycznymi — od młodochwistków z „Katarynki” krakowskiej. Przedewszystkiem jest on bardziej od nich szczery i poszukiwania swe traktuje poważnie — czego niestety o tamtych powiedzieć nie można. Ten stosunek jego do własnej twórczości, pozbawiony taniego kpinkarstwa i dobrze opłacającej się blagi — od razu go wyróżnia z pośród zgiełkliwej rzeszy połamańców futurystycznych — i zmusza krytykę uczciwą do zastanowienia się również poważnego nad istotą jego „poetyków” zebranych w książce p. t. „Majowce”.

Nie jest zadaniem mojem w danej chwili analizować szczegółowo rezultaty, do jakich doszedł w swych poszukiwaniach Łopalewski. Nie piszę bowiem oceny jego książki — chodzi mi tylko o stwierdzenie ogólne pojawienia się nowego talentu poetyckiego.

Otóż na podstawie jego „Majowców” pomimo wielu rzucających się w oczy niedociągnięć i śmiesznośtek, pomimo wyraźnych gdzieś wpływów Wierzyńskiego i Młodożeńca stwierdzenie samorodnego talentu Łopalewskiego jest rzeczą bardzo łatwą. Talent ten tryska źródlaną strugą z „Majowców”. Wiersz Łopalewskiego — jest pełen wiosennej dynamiki i ma gibkość i prężność wierzbowej wikliny. Wiersz ten jest niespokojny, poszarpany niekiedy, skrzywiony często pokracznie — ale jest zawsze ciekawy i drażniący, niby furkoczący na wichrze pióropusz.

Tych słów kilka niech na razie wystarczy. Z tego, co powiedziałem, zarówno Iwańska jak Łopalewski zrozumieją moje intencje.

XAWERY GLINKA.

UCIECZKA Z WIĘZIENIA.

W drogę! hej w drogę! Nikt nie błogosławi,
Nikt nie pozdrowi mnie, przechodząc mimo.
Jeno ty śmiejesz się nademną, zimo,
Że warjat z tobą wziąć się chcę za bary...
Kto kogo zmoże? — no bądźmy ciekawi! —
W piersi mej biją groźne uczuć żary.
Świat taki pusty — ludziom na nim ciasno?
Nikną kontury drzew, pól, dróg i dachów...
Jestem, jak pionek zgubiony od szachów,
Co na posadzce ledwo go odszukasz...
Patrzą bal maskowy! Wrony niech przyklasną:
Jak stogi siana stroi śnieg — perukarz!...
Błedego nieba wzorzysty baldakim
Nad zachodzącem, sennem słońcem wisi...
Rzadcy przechodnie, markotni i cisi,
Zdążają do dom.., Ani ich nie dziwię
Swoją postacią... Dokąd zdążam, za kim?...
Sam nie wiem, jeno, żem uszedł szczęśliwie...

Więzienie moje tam w dali, gdzie szalał...
 Szare i zimne, jak zmarłego kościec,
 Który — bez duszy — w proch się musi rozciec...
 Ja zeń wyszedłem — jak duch z pod nagrobka.
 Hej! w Drogę!... Wielki gmach mi w oczach zmałał,
 Jak w końcu zdania postawiona kropka...

JÓZEF BIRKENMAJER.

TRUDNO ODNALEŚĆ CAŁEGO SIEBIE.

Pękaty nirwaną Brahma,
 swe najcenniejsze chłonący twory;
 Apollo, kreślący dzieł pierwowzory;
 potworne ślepotą Fata;
 Aryman — grożący końcem świata;
 Chryst, szukający brata
 między żebraki, doktory;
 Hades — podziemi stróż;
 Oziris — z głową ptaka jasny bóg;
 napinający łuk — w głąsz...
 Ludzkość
 wielkie, jak niebo, zbudowała twory
 swych wyobrażeń o wszechświecie,
 takie bóstw huczące bory,
 takie stopy błędnych dusz,
 że się zgubiłem w niej, jak dziecię,
 i szukam, wołam, nawołuję siebie.
 Woda, gdy twarz mą kolebie,
 rzecze przez gędzby wełmów eolskie:

„Iżbyś mógł odnaleźć siebie,
 pierwszej musisz znaleźć Polskę”.
 Szukam Polski lata mnogie.
 Ktoś rozsypał, zatracił
 wśród tych ludzkości wielkich wyo-
 [brażeń,
 ktoś nią się bardzo, bardzo wzboga-
 [cił.
 Zbieram jej szczątki, wątki, pamiątki,
 zebrać nie mogę.
 Przypadnę uchem do kurchanów,
 słucham,
 czego nie stoczył w nich wieków
 [czerw,
 do macierzy-Ziemi żywej,
 pytam o moich praczasów spuściznę,
 i mówi Ziemia:
 „Byś mógł znaleźć Polskę, pierw
 musisz znaleźć Słowiańszczyznę”.

Więc wśród huczącego boru
 ludzkich wyobrażeń o wszechświecie,
 wśród olimpów, nirwan, walhall zaworu
 ja zablakane dziecię,
 ze szczątków, prochów, kości,
 z dawności i dzisiejszości
 odbudowywuję Słowiańszczyzny Cudno.

Zaprawdę, bardzo trudno
 odnaleźć siebie całego w ludzkości.

RADOŚLAW KRAJEWSKI.

NA PLAŻY.

Na plaży leżę rozpieszczony
I snuję myśli przedzę —
I cicho nucę modną piosnkę —
I z flegmą ciało wędzę.

Zwierciadło piasku dziwnie skrzeczy,
Jak boa lub grzechotnik;
Tuż przy mnie stary na bujaku
Wylega się suchotnik.

Bez przerwy pluje do torebki,
Wsluchany w letnie szmery —
Nie może pojąć, czemu właśnie
Dziś skaczą tak litery.

Odrywa wreszcie wzrok od książki,
Przeciera okulary,
I, sucho kaszląc, patrzy na mnie
Przez łzawych oczu szpary.

Mgławica marzeń w mętnej głowie
Najnowsze tworzy style.
Zaludniam swą osobowością
Warszawę i Antyllę.

Już widzę siebie w murach Sjamu,
W Bombaju i w Pekinie,
Nocą w Madrycie pod balkonem
Coś gram na mandolinie.

Nad brzegiem Nilu, wśród piramid,
Nos wtykam w piach Sachary,
Gdzie mnie bóg groźny faraonów —
Ozyrys wita stary.

Na świętej — spędzam czas — Helenie,
Gdzie mieszkał Bonaparte,
I ja — ostatni z grenadjerów —
Ostatnią pełnię wartę.

Zajadam kawior astrachański,
Liberji smakołyki,
Jako prezydent w dziejach sławnej
Murzyńskiej republiki.

Na czarnej wyspie Oceanji,
Gdzie władam czarnym ludem;
Mam poślubioną czarną żonę,
Nazwaną „Czarnym Cudem“.

U szczepu groźnych Delawarów
Zdobynam wodza miano —
I chór aniołów ku mej chwale
Kolendy śpiewa piano.

Tak dziwnie mile skwierczy piasek,
Jak boa lub grzechotnik...
Śród spazmów kaszlu do mnie stary
Uśmiecha się suchotnik.

Skrwawione słońce z wyży swojej
Miętosi mnie jak walec, —
I z buta — wiecznie goły Satyr —
Wyziera duży palec.

JAN KRUPICKI.

Tańczą, tańczą niespokojnie dziwne maski dziwnych zapust —
Cicho, słodko lka luteńka kameljowo-bzowych śnieg...
Zamiast bawić się miłością, lepiej bawmy się w anapest —
i na szybach oglądajmy czarnych drzewek chiński cień.

Wiecznie czuwa, wiecznie żyje — ach, ach — miłość-salamandra!
Wiecznie tęskni, wiecznie wzdycha smokingowy mój Pierrot!
Czy jęklawiej płacze miłość — czy żałośniej płacze chandra?
A liściki welinowe tak się łatwo, łatwo drą...

Szczęście będzie na Saharze — miłość będzie gdzieś w Clondyke'u —
Czy tam gdzie koczuje jeszcze Złotookich dziki klan — —
Może tam gdzie nieśmiertelny Fenix składa dziwne jajko,
czy tam gdzie zimował chmurnie zły oficer, mądry Glan?

Dobrze. Przypnę rycerzowi jedwabisty kwiat kokardy —
Pojedziemy. Zabierzemy miłość, fuzję, kask i pled — —
Ach, możemy zapolować na wysmukłe leopardy,
lub na lody snów polarnych nasz poślubny odbyć raid.,.

O kochanku mój królewski, czegoż jeszcze dziś wymagasz?
Siedzę grzecznie, słucham pilnie i wyglądam, jak altesse.
Można zaraz rozpakować nasz liryczny, modry багаż
na wybrzeżu, gdzie nas rzucił rozpędzony Sud-Express...

A tymczasem — poprzez szyby — przez deszczowy amalgamat
(dziko tęskniąc za pustynią, za ojczyzną płowych grzyw)
drży na słońce, na wichurze zmokły, zziębły stary Psammed
i posyła nam przez okno najjadliwszych bajek dziw...

HALINA ODYŃCOWA.

U POETÓW.

A jednak dowiadujemy się, że Roman Zrębowski jest nie tylko tym, który redaguje, ale i tym, który zgromadza mamonę na strojną w safian, brokaty, telety szate, na zawiesziste, sobolem bramowane kiereje „Krokwi“. Wanda Melcer-Rutkowska napewno nie wie w lipnowskim, że powieść jej „Józefina“, wydana przez lwowską księgarnię Altenberga, jest już rozchwytywana. E. Korwin Małaczewski (mimo tworzenia erotyków) wydaje tom swych subiektywnie opisowych utworów, pisanych coraz cięższą prozą. № 115 „Kurjera Polskiego“ z r. b. chce księcia poetów polskich widzieć w Radostawie; nie oponujemy, jakkolwiek nasza wrodzona skromność wołałaby na tym najwyższym z najwyższych piedestale widzieć kogoś jeszcze bardziej dostojnego, ale jeden głos to za mało, wybory na księcia tego uważamy za sprawę w obliczu narodu i świata najbardziej palącą i najważniejszą.

Nieoczekiwanie odkryliśmy tajemnicę aktorskiego talentu kierownika „Reduty“, owe impresjonistyczne i formistyczne malowidła w jednym z mieszkań przy Al. Jerozolim. 23 i znajdujące się tamże ciekawe rękopisy — to obrazy i poezje Juliusza Osterwy, i teraz, o kochani artyści dramatyczni, ustalamy wielką prawdę: nie można być genialnym aktorem i nie być jednocześnie poetą, to samo wam powie Stefan Jaracz, Węgrzyn, Frenkiel, Osterwina i obiedwie Stanisławy — Wysocka i Umińska.

Na przedostatniej „czarnej kawie Zawod. Związku Literatów“ pątnik po wszystkich krajach i kulturach globu tego i duchem młodszy od społeczeństwa najmłodszych w literaturze Wacław Sieroszewski opowiedział o społecznej poezji i sztuce Ameryki, jego słowa zachwytiliwe, gorące, barwne, egzotyczne obrazy o życiu za oceanem wywołały w audytorjum entuzjazm dla poezji woli i zapa-

lającego gasnące słońca antropocentryzmu. Na ostatniej natomiast „czarnej kawie” byliśmy świadkami krwawej rozprawy szampionów „Ponowy”: Emil Zegadłowicz bił przeciwników, całe audytorjum balladami długo naosłep, wielokrotnie te same powtarzając razy, Jan Nepomucen Miller atakował rozważniej, wolniej, uparcie hexametrem, I. Stycz w grozie walki nie miała sił zawiązywać szarpią ran walczących, załamawszy ręce wołała: „Chryste, przyjdiesz zapóźno”, to nie zrażało Ed. Kozikowskiego, którego słowa: „Bić, doskoczyć, przyskoczyć, wyskoczyć i smutnym umrzeć choćby na śmietniku, ale poskoczyć, bić” nieustannie nam wpadały w uszy. Po wieczorze Cezary Jellenta, patrząc pogodnie z wyżyny odbytych kampanij na połamane koncerty, kadery, kopie, na kawałki rąk i głów chwalił ten najczupurniejszy turniej najmłodszych w literaturze, stwierdzając, że tylko dzięki orężowi literackiemu „trwaliśmy w długie narodowe noce”.

Najjaśniejsza blondynka wśród poetek — Stanisława Iwańska — pisze poezję o coraz bardziej filigranowej konstrukcji, o coraz bardziej cyzelowanych linjach konturu, coraz bardziej aromatyczne och! i takie jasno, jasno blond. Tadeusz Frenkiel lepi dramat, osnuty na tle herbowego, pełnego starych i ciasnych pojęć środowiska wiejskiego, dokąd wraca „gorzej urodzony” krewny z Ameryki. Artur Górski, człowiek o najgłębszej kulturze polskiej, ongi redaktor krakowskiego „Życia”, za swe bezcenne prace dotychczas ma ten przywilej, że wolno mu w niewoli twardej szarzyzny życia wyzwać się z woli i być ciąganym w charakterze honorowego eksperta do spraw honorowych między haraburdami różnych pismackich kondycyj.

Stefan Żeromski z niedomagań białorękawiczkowych i zapanbratania się z pikadorczykami powraca podobno do popiołowo-walgięrowego zdrowia. Podobno też w związku z tem i na skutek wpływu najkulturalniejszych kół w Polsce zaaprobowany na zjeździe literatów projekt Akademji Literackiej Żeromskiego nie mogąc się narodzić w naturalnej formie, ma ulec operacji. Rzeczona Akademia po dokonaniu przekładów naszych łacińskich mitologów i kronikarzy rzekomo ma stać się uczelnią języka polskiego dla naszych literatów: rektorem ma być Żeromski, W. Berent — prorektorem, Kazimierz Tetmajer — profesorem gwary zakopańskiej, Wł. Reymont — profesorem gwary łowickiej, Władysław Orkan, F. Gwiżdż — docentami odcieni gwary podhalańskiej, Adam Chętnik — asystentem przy katedrze gwary kurpiowskiej, Stefan Krzywoszewski — profesorem warszawskiego dialektu potocznego, Witold Bunikiewicz — profesorem języka rybałtów i wszelkiej luzy waganckiej z czasów Zygmunta I-go, Adolf Nowaczyński profesorem nadzwyczajnym starożytności i osobliwości językowych oraz profesorem zwyczajnym polskiego języka międzynarodowego. Wobec tego, że nasi starsi i młodszy literaci o bogactwie własnego języka mają najsłabsze pojęcie, że nieuctwo jest traktowane coraz bardziej zawodowo, myśl założenia takiej instytucji będziemy popierać najgoręcej, zwłaszcza, gdy jej kierownicy z tego najbogatszego z języków języka, będą wykuwać dumy o hetmanach naszej rozrastającej się w bezbrzeża przyszłości. Podobno w opozycji wyraźnej przeciw temu wnioskowi stoi jedynie Karol Irzykowski, jedyny wśród literatów prenumerator „Języka polskiego”, popierając swój dalej idący wniosek utworzenia Głównego Państwowego Urzędu Czystości Języka Polskiego z kolegjalnem ciałem doradcem ś. p. Akademji Umiejętności. Harmonja w zawodowym związku dramatopisarzy polskich jest zachwycająca, jeśli naprzykład ktoś z tego związku wystawia „Szał”, koledzy-krytycy w kurtuazyjności tracą głowy, szaleją: niech

ces 20528/2/m

żyje szal! Remigjusz Kwiatkowski wydaje obecnie „Liście bambusu”. Grzegorzcyk przekłada na język polski Papiniego „Storia di Cristo”.

„Skamandrowi,” który rozdyma się grubością tekturowych stronic i przekładami Ad. Mickiewicza do wielkości filologiczno-historycznej powagi, radzimy, by to czynił ogólnie, przy łada potknięciu upust filologiczno-historycznego powietrza wyżenie z jego okółu poetów i poezje. Cieszy nas to, że nawet nasze swojskie jednonocki i jednodniówki z fetorystycznymi manifestami trąbia ze wszystkich przymurków nasze słoneczne hasła (antyfatalizm, wszechmoc genjuszu ludzkiego), ale srodze bolejemy nad tem, że ten nasz, nasz i ten nieobrzezany i ten obrzezany rodzimy fetoryzm taki ubożuchny jest we własne koncepcje i kompozycje. Coraz wartościowsze utwory nadsyłają nam Seweryn (nie Władysław, jak to w poprzednim zezycie mylnie wydrukowano) Odyniec, Juliusz Wirski, S. Krupicki, W. Tańska, Józef Birkenmajer, Piwowarczyk i Gwido Rakowski.

V A R I A.

WANDA MELCER-RUTKOWSKA, utalentowana poetka wydała ostatnio powieść p. t. „Józefina”. Nie mając możności szerszego omówienia tej powieści na łamach „Gospody” na jakie bezwzględnie zasługuje nowy utwór Rutkowskiej — musimy się zadowolić stwierdzeniem, że powieść ta wybitnie wyróżnia się od szeregu nudnych i realistycznych powieści doby ostatniej. Zarówno sam pomysł, jak strona artystyczna t. zn. styl i język „Józefiny” — zdradzają pióro, które jest przedewszystkiem piórem poety. Zwartość stylu, skąpstwo w używaniu słów, z których się tylko wybiera te najniezbędniejsze — oto główne zalety artystyczne „Józefiny”. A pozatem — porównania: świeże, odważne i oryginalne. Wyszukanie wad w ostatnim utworze Rutkowskiej — pozostawiamy krytyce, która się w tem lubuje.

Errata: W № 9 „Gospody” w utworze Z. Rościszewskiej: „?!” powinno być w wierszu 9-ym „A ty byłeś czerwoną kropką” i w wierszu 18-ym „A ty mój mały...”. O możliwych omyłkach prosimy powiadamiać nas listownie, zawsze słuszności będziemy starali się uczynić zadość.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI „GOSPODY POETÓW”:
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT NR. 40. TELEFON NR. 319-87.

REDAKTOR „GOSPODY POETÓW”: Radosław Krajewski.



Wydawnictwo Polsk. Poster. Wydawniczego „Placówka” — „Gospoda Poetów” — dołączane jest jako bezpłatny dodatek do „Placówki”. Redakcja Naczelna P. P. W. „Placówka”, pragnąc żeby „Gospoda Poetów” była odbiciem poetyckich dążeń i poszukiwań Młodych, daje redakcji „Gospody” zupełną swobodę kierownictwa. Wobec tego odpowiedzialność za redakcję „Gospody” ponosi wyłącznie jej redaktor Radosław Krajewski.

REDAKCJA NACZELNA
POLSKIEGO PASTERUNKU WYDAWNICZEGO „PLACÓWKA”.